№ 2. Warszawa, dnia 28 Grudnia (9 Stycznia) 1885/6 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

ZABYTKI POEZYI BULGARSKIEJ.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Gdy śpiewają tak dziewoje,
Gwiaździarz podjął świrkę swoję,
Smutno kładzie ją na usta,
I przygrywać im poczyna.
Nie wesoła, oj, nie pusta,
Pieśń starego Bilaryna.
Zapłakały drobne dzieci,
W ich oczętach łezka świeci,
Białe rączki załamały,
Wiatr szeroko dźwięki niesie,
Płaczą z niemi martwe skały,
Płaczą z niemi drzewa w lesie.
Płacz doleciał pod niebiosa,
Bóg nad dziatwą się pożali,
Skinął, Juda złotowłosa,
Wśród powietrznej pomkła fali,
Bóg w te do niej rzecze słowa:
— Ej, ty Judo, jasna zorzo,
Na mój rozkaz bądź gotowa,
Biedne dziatki tak się trwożą!
Czarna dola rychło minie,
Gruby tuman spadnie z ziemi,
I ty błyśniesz na dolinie,
Znowu blaski promiennemi.

Na to Juda tak odpowie:
—Oj, ty boże, miły Suro,
Mamże ziemi świecić górą?
Wściekła żmija na twej głowie,
Trzema ściska cię ogony,
Głos twój gromem wskroś przeszywa,
Straszno tętni koń twój wrony,
Z wężych splotów jego grzywa.
Gdy rozpuści lot hulaszczy,
Płomień bucha z czarnej paszczy,
Po co wołasz jasną zorzę?
Idź nad studnię twą złocistą,
Tam się wykąp, Suro boże,
Oblej szatę wodą czystą.
Gdy twe czoło z chmur się zmyje,
Gdy odpaszesz krwawą żmiję,
Kiedy wtrącisz w czarne piekło,
Konia-smoka z żmiją wściekłą,
Wtedy zasiądź w jasnem niebie,
Wezwij Judę twą do siebie;
Ona tobie dla ochłody,
Dzban słonecznej poda wody,
I nad ziemskim znów obszarem,
Promienistym błyśnie żarem.
Nie daremna Judy rada:
Bóg nad złotą studnią siada,
Przez trzy doby kąpie ciało,
W czystym zdroju szatę myje,
Aż mu lice pobielało.
I odpasał wściekłą żmiję,
Ze skrzydlatym koniem smokiem,
W otchłań wtrącił ją ponurą,
I swobodnie z jasnem okiem,
W swym pałacu siadł bóg Suro.
Promień igra mu na czole,
Samowila bogu służy,
I na złotym stawia stole,
Wody żywej puhar duży,
I promyki słabiuchnemi,
Zaświeciła zorza ziemi.
Roztrąciła czarne chmury,
Ale tylko w progu Dury,
Tam Bilaryn za nóż bierze,
Do ofiary nóż przykłada...
Wtem, furknęły czarne pierze,
Nie dogonić okiem śladu.
Leci w górę coraz dalej,
Aż w powietrznej znikła fali.
A Bilaryn rzecze słowo:
Ej, ty carze, miły carze,
Czas ci spocząć w gnieździe twojem,
Zobacz, zali po nad zdrojem,
Gad z troistą leży głową?
Bóg-li zamknął go w pieczarze?
Błysłaż zorza na doliny?

Zbiegłyż z ziemi czarne *zliny?*
Gdy powrócisz na ofiarę,
Złożym bogu ptaki szare.

Juda zorza zajaśniała,
Odpędziła krwawą Lami,
Straszny potwór z trzema łbami,
I znów doba świeci biała.
Car na rączym swym biegunie,
Ku krynicy żartko sunie,
O dziewojkę snać się trwoży,
Wtem ją ujrzał w blasku zorzy,
Tam u zdroju dziewczę młode,
Złotym dzbankiem czerpie wodę.

— „Córko, rzecze, ty jedyna,
Co ci było rzucać progi?
Mógł cię pozrzéć gad złowrogi!"
Na to rzecze mu dziewczyna:
„Miły ojcze, carze miły,
Kiedy wczoraj przez mgłę bladą,
Ranne zorze zaświeciły,
Przyleciało ptaków stado,
Słyszę, biją w czarne skrzydła,
Ku niebiosom lecą z ziemi,
I gadzina ta obrzydła,
Uleciała wślad za niemi,
A ja przyszłam dla macierzy,
Czerpnąć w zdroju wody świeżej."

„Biała doba wraca przecie,
Car do miłej rzecze córy:
— Chodź-że ze mną, drogie dziecię,
Do świątyni pójdziem Dury;
Tam objatę złożyć trzeba,
Bóg naszemi zmiękczon łzami,
Jasna zorza błysła z nieba,
I wygnała straszną Lami,
Nim do mego wrócisz progu,
Dań dziękczynną złożym bogu.

Zadość ojcu dziewa czyni,
Promienista i wesoła,
Idzie z carem do świątyni,
Przyszli do wrót, car zawoła:
— „Hola stary Bilarynie,
W świętym gaju, na dolinie,
Są gołąbków siwe pary;
Ty gwiaździarzu znasz je stary,
Boś je karmił czystem ziarnem,
Pić im dawał przaśne mleko,
Czas je w hołdzie nieść ofiarnem;
Źmija zbiegła het daleko,
Już bezpieczna moja córa,
Niechże uczci boga Sura.

A Bilaryn stary rzecze,
„Nim przystąpisz do obiaty,
Nim przeczysta krew pociecze,
Idź-że nowe oblecz szaty,
Przetykane całe złotem,
A ofiarę złożym potem.
I zaklęcia rzekniesz słowo,
Że na krwawe pójdziesz boje,
I pogromisz wrogi twoje
I objatę złożysz nową,
Gdybyś nie szedł: biada! biada!"

Z konia nawet car nie zsiada;
Do dom pędzi lotem strzały,
Złotolite szaty wdziewa,
Carskie lica pojaśniały,
Radość w żyłach krew zagrzewa.
Krótko gości w swym seraju,
Ku świątyni tnie z kopyta,
A Bilaryn w świętym gaju,
Sine ptaki w locie chwyta;
Złapał dziewięć już dziesiątek.
Czemuż, czemu tak zsiniały,
Piórka białych tych ptaszątek?
Bo nie pomnę doby białej,
Bo nad ziemią taka chmura,
Takie burze, takie słoty,
Że oblicze nawet Sura,
Poczerniało od zgryzoty.

A car modli się w pokorze,
„Oj Ty Boże, miły Boże!
Siwopióre te ptaszęta,
Narodzone w czarnej dobie,
Na ofiarę złożę Tobie.
Pierzchła wreszcie noc przeklęta,
Dzień połyska przez mgłę bladą,
Przyślij Judę Samowilę,
Niech popatrzy jedną chwilę,
Na gołąbków siwe stado,
A od oka jej promieni,
Cudnie barwa ich się zmieni,
W promienistą, śnieżnobiałą,
Jak się z dobą czarną stało."

A Bilarym w Dury progu,
Pieśń gorącą śle ku Bogu,
Głos modlitwy płynie w górę,
W lot przybiega Zorza-Juda,
Staje, patrzy... istne cuda!
Te gołąbki siwopióre,
Wybielały w jednej chwili,
Pod oczyma Samowili!
Car gołąbki sam zabija,
Dziatwa przy nim służbę czyni,
Dzień za dzionkiem szybko mija,
Trzy tygodnie był w świątyni,
Aż powrócił do seraju.

Rad z dzieweczki ukochanej,
Gońce z kraju śle do kraju,
Sprasza króle, wzywa bany,
Uroczystą czci biesiadą.
Świat nie pomniał uczty takiej,
Z stron dalekich gońce jadą;
Wśród nich junak nad junaki,
To król Reno niezwalczony,
Piękny młodzian, nie ma żony.
Służy królom carska dziewa,
Wino w czaszę im nalewa,
W złote czasze płyn rumiany.
Patrzą na nią króle, bany,
Gdy przy Reno stanie z boku,
Czemu ręka drży dziewczynie?
Zkąd ta trwoga w dziewy oku?
Czemu na stół wino płynie?

Złoty puhar przepełniła,
Wino ściekło wielką strugą,
Car w swe dziecię patrzy długo,
Potem szepnie: „Córko miła,
Powiedz prawdę ojcu twemu,
Czemuś taka cała drżąca?
Czemu ronisz łezki, czemu?
Ten król jeden wśród tysiąca,
Wpadł ci w oko, moje dziecię,
On-ci jeden miły w świecie,
Gdyś mu także miła wzajem,
Dawnym matek obyczajem,
Tę obrączkę daj mu złotą.
Jeśli przyjmie ją z ochotą,
Ja wyprawię ci wesele,
W dom zaproszę gości wiele;
Będzie uczta, będą gody,
Na cześć mojej pary młodej.
Siedmiu królów za stół siędzie,
Jako swaty przy obrzędzie,
Z nimi drużby, siędą bany,
W szacie złotem bramowanej.
A ty, dziewo moja, hoża,
Nad weselnym błyśniesz stołem,
Promienista niby zorza,
I obiegniesz wielkiem kołem
Dziewosłęby twe i swaty,
I przed każdym złożysz w darze,
Ręką twoją tkane szaty.

A dzieweczka rzecze mała:
„Oj, tatuniu, miły carze,
Jam junaka ukochała!
Ten król Reno wziął mi duszę,
Jam mu pierścień dać gotowa,
Ale naprzód wiedzieć muszę,
Co w swej myśli na dnie chowa?
Czyli kocha mnie wzajemnie?
Czy podoba sobie we mnie?
Czyli krasa mej urody,
Jego serce też pochwyca?
Czy z radością junak młody,
Ucałuje moje lica?
Sam, tatuniu, spytaj o to,
Nim obrączkę dam mu złotą,
Jeśli kocha jak kochany,
Sproś-że wtedy gości wiele,
Wezwij króle, ściągnij bany,
Sute wypraw nam wesele.

A car skinie na to głową,
Do junaka rzecze słowo:
„Królu Reno, druhu śmiały,
Czyż twe serce nie odgadło,
Tyś wpadł w oko dziewie małej,
Toć dobrane wasze stadło.
Ona rada ci posłuży,
Twą napełni winem czaszę,
W dzban zaczerpnie wody czystej,
Mnie po sercu związki wasze;
Po co królu czekać dłużej?
Weź pierścionek jej złocisty,
I na moim zasiądź tronie,
Ja miłego nie mam syna,
Wszystkiem dla mnie ta dziewczyna."

Lice króla żarem spłonie,
Z czcią przed carem głowę schyli,
I odpowie mu w tej chwili,
„Twoja, panie, córka miła,
Duszę moją zniewoliła,
Tobie za nią składam dzięki,
Wezmę pierścień wnet z jej ręki,
Z twą dziewoją stanę w parze,
Ty nam gody wypraw, carze,
Zaproś króli, zwołaj bany,
Przy godowym tym obrzędzie,
Niech przez ciebie syn wybrany,
Na twym złotym tronie siędzie,
Wtedy dziewa twoja młoda,
Niech mu złoty pierścień poda.

Co rzekł junak wnet się stało,
Na złocistym zasiadł tronie,
Złoty pierścień ujął w dłonie.
Wtem zagrzmiało, zatętniało,
Zagasł dzionek, wkrąg żałoba,
Chmury ziemię wnet ogarną,

Wkoło straszno, pusto, czarno,
Powróciła czarna doba.

Car zapłakał trwogą zdjęty,
Rzewne skargi śle ku Bogu,
Jęk się rozległ w Dury progu,
O przybytek trąca święty,
Tam Bilaryn słyszy łkanie,
Wnet w seraju gwiaździarz stanie,
I do cara rzecze słowo:

„Ej, Bóg Sura wie co czyni,
Na kraj zesłał noc grobową,
Nie przyrzekł-żeś mu w świątyni
Lud na krwawe powieźć boje?
Kędy, carze, słowo twoje?
Wróg najeżdża ojców ziemię,
A twa szabla w pochwie drzemie!
A ty z królów, z banów kołem,
Za biesiadnym siędzisz stołem!
Tyś zawinił, więc Bóg Suro,
Kraj twój odział czarną chmurą,
Głowę ścisnął w sploty żmije,
Skrzydlatego dosiadł smoka,
Ryknął gniewnie i z wysoka,
Wściekłym gadem w gród twój bije.
Już podnosi łby gadzina,
Krwi się czystej dopomina,
Wnet spustoszy kraj bogaty,
Spiesz-że, panie, rżnij obiaty,
Mam gołąbków chmarę całą,
Niech przeczysta krew ich spłynie,
Bóg przebłagan, ześle może,
Na wesele twej dziewczynie,
Promienistą z nieba zorzę,
I znów dobę wróci białą,
I zbieleje co zczerniało.”

W progi Dury car pobieży,
Po omacku, drogą czarną,
Rżnie gołębie, z krwi ich świeżej,
Składa Bogu dań ofiarną,
I podnosi głos do Boga:

„Oj ty Boże, wielki Suro!
Co panujesz w jasnem niebie,
Krwią tych ofiar błagam ciebie,
Niechaj pierzchnie noc złowroga.
Niechaj zorza błyśnie górą!
Dzień wesela mej jedynej,
Niech ozdobi, niech rozświeci;
Przecz za starych ojców winy,
Płacić mają biedne dzieci?”

Car nie dorzekł słów połowy,
Krew gołębi nie dociekła,
Bóg odpasał żmiję z głowy,
Pchnął gadzinę na dno piekła,
Wyśle zorzę Samowilę,
Niech godową uczci chwilę,
I wybieli co zczerniało.

Jak Bóg kazał, tak się stało,
Car wyprawia huczne gody,
Wyszło dziewczę, cud urody,
Otoczyły wnet ją druchny,
Kładą wianek jej bieluchny,
Krasnym rąbkiem słonią lica,
Króle, bany, wielkiem kołem,
Za złocistym siedzą stołem,
Przyszła do nich krasawica,
I uśmiecha się radośnie,
I białemi darzy tkanki,
Ona sama w złotem krośnie,
W barwne tkała je równianki.

Przeminęły huczne gody,
Króle, bany całą rzeszą,
Po weselu do dom śpieszą,
A król Reno junak młody,
W Trunogrodzie mądrze włada,
Ojciec rządzić już nie może,
Ciężko chory, zaległ łoże,
Do junaka tak zagada:

„Królu Reno, synu miły,
Już się kończy moja droga,
Skoro umrę, zgromadź siły,
Z wielkim hufcem pędź na wroga,
Turczyn zbrojno ku nam kroczy,
Na Trunogród pędzi żywo,
Ty mu szablą błyśnij w oczy,
Tu cię krwawe czeka żniwo.
Bóg miłościw naszej ziemi,
Nie dopuści jej zatraty,
Prośże modły gorącemi,
Na cześć bogom rżnij obiaty,
Kto obiatą nie czci Boga,
Z kraju wrogów nie wypłoszy,
I gadzina wnet mu sroga,
Żyzne pola opustoszy.

(Dokończenie nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

— Chwałaż ci, Boże, żem trafił przecie na ludzi — prawił on mąż, strząsając z siebie śnieg i sapiąc głośno — myślałem, że już przepadnę w tej zawierusze. Ano! żyję przecież czterdzieści pięć lat na świecie i nie widziałem jeszcze takiej burzy.

Zsunął z głowy kaptur, zdjął bobrową czapeczkę i ukazała się głowa w tonsurze, wygolona starannie, twarz duża, opasła i rumiana, z długą, ciemną brodą. Przybyły obrzucił małemi ukośnemi oczkami obecnych i zadowolony widać z oględzin, zapewne niezbyt dokładnych, bo w izbie było na pół ciemno, rzekł swym wesołym, basowym głosem:

— Zakonnik jestem św. Pawła pustelnika, z klasztoru wieluńskiego, Jacek, do usług waszmość panów. Na świecie mnie zwano Rudnicki, a teraz jak się rzekło, ojciec Jacek. Ale gdzież ja jestem! komu zawdzięczać mam gościnę?

— Jam jest Ignacy Żwan, gospodarz tej oto chaty.

— A ja Samuel Lniski, szlachcic pomorski.

— Ho! ho! to z daleka, mój mości panie!—rzekł zakonnik śmiejąc się, a brzuch i na nim barania opończa trzęsła się tak mocno, że śnieg z niej sypał się jak piasek — to z daleka. A jakże się ta wieś zowie, bom to ja miał do Dankowa dojechać alem pobłądził. Jakże się ta wieś zwie?

— Smolarze.

— Hm! hm! i gdzież ja jestem?...

— A niedaleko Dankowa.

— Aha! co za czas! co za czas! psa żal na świat wygnać. Mój mości dobrodzieju — obrócił się do Żwana — przyjmijże mnie na nocleg, bo żebyś mnie kijami bił, nie pojadę dalej. Życie w tych zaspach można postradać.

— Ale owszem, proszę bardzo, rozgośćcie się, ojcze...

— Jacek, Jacek mnie zwą w klasztorze.

To mówiąc, sapiąc głośno i śmiejąc się rubasznie, zdjął z siebie baranią opończę i stanął przed patrzącymi na niego ciekawie Żwanem i Lniskim w białym jak mleko habicie. Przeżegnał się, przysunął do ognia i dalejże prawić:

— Żwan! Żwan! czekajno waszmość, Żwanowie to tu w Wieluńskiem oddawna siedzą. Dobra to krew! A waść jesteś Kaszuba, hę? — spytał Lniskiego.

— A Kaszuba!

— Aha! ja to zaraz odgadłem! Mój mości dobrodzieju, każ mi tam koniki do stajni zaprowadzić, bo się zmachały, osobliwie kobyłka, ileże jest źrebna. Gadałem ojcu przeorowi, żeby mi nie dawali źrebnej kobyły, ale to groch o ścianę... A niech też wyjmą ze skarbniczka puzderko; mam tam trochę gdańskiej i gęsiny pieczonej, bom strasznie głodny, a wy widzę po wieczerzy.

Oglądał się dokoła ciekawie, przypatrywał się z ukosa Żwanowi i Lniskiemu, mrugał oczami i grzejąc ręce przed ogniem, śmiał się co chwila głośno. Żwan zakrzątnął się koło wydania rozkazów i wyszedł, a ojciec Jacek prawił dalej:

— Kiedy człek głodny, to do niczego. Kiszki ci poprzylegają do siebie, że i oddychać nie możesz. Jest tam jeszcze wino w tym gąsiorku?

— A jest! — mruknął Lniski.

Zakonnik podszedł, wziął w ręce gąsiorek, popatrzał nań pod światło, przytknął szyjkę do ust, wypił trochę, spróbował i krzywiąc się, szepnął na pół do siebie:

— Lura, czysta lura! ale na bezrybiu i rak ryba. — Począł pić.

Kiedy wypił do dna, odetchnął ciężko, przysunął sobie zydel do ognia i siadł. Właśnie powrócił Żwan, a za nim Piotr, niosąc pod pachą puzderko a w rękach nową miskę dymiących się zrazów z kaszą. Rozjaśniło się na ten widok rumiane oblicze ojca Jacka, żwawo przysunął się do stołu, roztworzył puzderko, pił, jadł i gadał ciągle. Nieznacznie, kołując, wybadywał obu nowych swych towarzyszy i nie spuszczał z nich ani na chwilę wzroku, a jadł tak, że zraz za zrazem znikał i wkrótce prawie pusty został półmisek.

— Czemuż waszmość panowie nie jecie ze mną?— pytał.

— Jedliśmy już — odrzekł Żwan — mamy dosyć.

— Ba! ba! mój jegomość, młody jesteś, to nie wiesz jeszcze, że człek przezorny zawżdy jeść powinien, jak tylko dają. Bo jeżeli nie na teraz, to na przyszłość trzeba sobie w kiszkach zapas zostawić. O! i ja żebym się był dobrze najadł u pani Grzybowskiej w Załęczach, tobym teraz nie był głodny. Ale Bogiem a prawdą, nie było co jeść, bo to niewiasta zacna ale Szwedka i cale się na polskich żołądkach nie zna.

— Jakto Szwedka? — spytał Lniski, dotąd siedzący ponuro przed kominem, zapatrzony w ogień i nie biorący prawie wcale udziału w rozmowie.

— Ho! jak-to znać, żeś waszmość nie z tych stron, jeno z Kaszub. Któż w Wieluńskiem nie zna imci pani starościny Grzybowskiej. Waść ją znasz, panie Żwan?

— Tak... widziałem ją parę razy w Dankowie...

— To waść znasz pana kasztelana Warszyckiego?

— A znam!

— Czekajno! prawda! prawda! — zawołał nagle zakonnik, uderzając się w pulchne ręce — Żwan! Żwan! słyszałem, darowałeś Warszyckiemu wieś! Ha! ha! ha! gadano o tem po całem Wieluńskiem. To to waść taki hojny pan?!

— A ja! — mruknął Żwan z wyraźną niechęcią.

— A nie sierdź się, panie bracie, nie ma czego. Nie ze złej też intencyi o tem mówię, jeno dlatego, że już teraz wiem kto jesteś. Otóż kiedy tak, to powiem tobie, że pana Warszyckiego spotkało wczorajszej nocy, czy wieczoru, wielkie nieszczęście!

Żwan, usłyszawszy to, porwał się z krzesła jakby go co ukłóło i cały zaczerwieniony podbiegł do mnicha, chwycił go za rękaw od habita i zawołał gwałtownie:

— Jakie nieszczęście? gadaj mi zaraz, księże!

Ksiądz spojrzał na Żwana zdziwiony, przypatrzył mu się, mruknął coś pod nosem, dobył z za habitu czerwonej, kraciastej chustki, wytarł nos głośno i rzekł:

— Powoli, powoli! wszystko się powie, co się wie. A nie szarpże mnie waść za habit. Klasztorny jest i dwa lata już ma, może się gdzie rozerwać. Sukno się zleżało, a zszywać nie lubię. Dadzą nowy dopiero na przyszły ś-ty Michał... Siądź-no sobie waść, siądź, siądź. A to gorączka! ha! ha! ha! Dajno wprzód wina, bo bez tego to i gadać się nie chce i w gębie też zasycha, a ten szlachcic— tu wskazał na Lniskiego — melancholik jest i rozruszać go trzeba. Kaszże dać wina, jeno, jeżeli masz to lepszego od tej lury. Kwaśne winisko, to zaraz w język i nogi idzie, a to jest głupio.

Ta przydługa i spokojna perora zakonnika sprawiła to, że Żwan ostygł i oprzytomniał, zwłaszcza, że spostrzegł wlepiony w siebie, mocno zaciekawiony wzrok Lniskiego. Milcząc podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał:

— Piotrze, przynieś tam z piwnicy dwie bocianki.

— A nie będzie to za mało? — wtrącił ojciec Jacek.

— Jak będzie mało, to przyniosę więcej! — odrzekł Żwan trochę ostro i siadł wprost zakonnika przy stole, ukryty w cieniu od gasnącego na kominku ogniska.

Zapanowało milczenie. Zakonnik ciągle głośno wycierał nos i sapał przytem potężnie. Lniski, który długo przypatrywał się Zwanowi, zagłębił się znowu w swe krzesło, oparł głowę na jego poręczy i zapatrzył się na ogień, liżący słabemi płomykami kłodę drzewa. Żwan obie ręce oparł na stole, zagłębił palce we włosy i ukrył twarz, jak gdyby lękał się, by pomimo ciemności nie odgadniono uczuć nim miotających.

Nakoniec Piotr zjawił się z dwoma gąsiorkami omszałemi i o długich szyjkach, ztąd zwano je bociankami i odkorkowawszy postawił na stole. Ojciec Jacek wziął lampkę, popatrzał na złocisty płyn pod światło, posmakował i rzekł:

— A! to warte gęby.

— Gadajże teraz księże o tem nieszczęściu kasztelana! — zawołał z widoczną niecierpliwością Żwan.

— Hm! — począł powoli zakonnik — nieszczęście! nieszczęście. Znowu to nie jest tak wielkie nieszczęście! Najjaśniejszy król i pan nasz Karol Gustaw jest monarcha...

Nie skończył, bo Lniski z wielkim trzaskiem i rumorem zerwał się z krzesła na równe nogi, pchnął ciężki ten sprzęt tak silnie, że z łoskotem runął na posadzkę i zawołał strasznym głosem:

— Do stu siarczystych dyabłów z ogonami, któż ci to popie powiedział, że ten przeklęty Szwed jest naszym królem i panem!...

Zakonnik ani się ruszył, ani przestraszył temi słowami i postawą groźną rycerza. Spojrzał jeno śmiało na niego i począł się śmiać a brzuch mu się trząsł przytem jak galareta. Lniski był w pasyi. Przysunął się do stołu, uderzył weń pięścią tak silnie, że bocianki i lampki podskoczyły w górę i nachyliwszy się do mnicha tak blizko, że go prawie dotykał, wrzeszczał ciągle.

— To takie wam nauki dają w klasztorze! Bodaj was zabito! Heretyka królem zowiecie! Jak mnie tu widzisz, żebym nie miał respektu dla twej sukni, tobym cię za kark wziął i przez okno jak kota wyrzucił. A bodajże was siarczyste pioruny biły! Król Karol Gustaw!...

— Ha! ha! ha! — śmiał się zakonnik — poczciwa nasza szlachta. Ale nie wylewaj-no wina, bo to szkoda tego specyału. Nie sierdź się, nie sierdź, mój robaczku. Lepszy ja może od ciebie i jeślim to gadał, to jeno chcąc wypróbować z kim mam do czynienia. Ha! ha! ha! a to gorączka. Alem się też uśmiał. Ano, niechże to będzie Bogu na chwałę i spać też będę lepiej, bo śmiech zawżdy dobrze czyni na wątrobę. Usiądź-no, usiądź mój... jakże cię tam zowią?...

Ale Lniski był w wielkim gniewie. Chodził swemi ciężkiemi, drewnianemi nogami po izbie, dzwoniąc srodze ostrogami i mrucząc jak niedźwiedź pod nosem, Zakonnik zaś, wyśmiawszy się do syta, obtarł głośno nos i oczy zaszłe łzami swą czerwoną chustką, włożył ją starannie za habit, wypił duszkiem wino z lampki, nalał nową i rzekł:

— Otóż, kiedy tak, to wam powiem z czem jadę. Ja jadę do Częstochowy, bo Szwed idzie na nasz klasztor i chce go zburzyć. Paskudny heretyk Burhard Miller, wyszedł wczoraj z Wielunia z ogromną potencyą. Ma dziewięć tysięcy wojska i dziewiętnaście harmat. Same Finy, Szwedy, Niemcy, Pomorzany, Szkoty, Kaszuby, Cyganie, Węgry, Żydy, Prusaki, Czechowie i Bóg wie jakie nacye idą. Strach, powiadam mam.

Głębokie po tych słowach zaległo milczenie w komnacie, a Lniski stanął na środku i szeroko usta otworzył. Mnich popijał wino, rzucając dokoła ukośnemi oczkami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z literatury zagranicznej.

Kilka słów o Maryi Wollstonecraft i niektórych jej pracach.

Zastanawiając się nad życiem Maryi Wollstonecraft i odczytując jej prace, nie można powstrzymać bolesnego westchnienia nad losem genialnych ludzi, wyprzedzających o cały wiek współczesne sobie pojęcia i wyobrażenia. Trzymający berło cywilizacyi i oświaty z ostrożnością niezmiernie niedowierzającą, przyjmują nowe prawdy rujnujące pojęcia, niemal będące obyczajem społecznego porządku.

Takiego przynajmniej losu doznała wymieniona powyż autorka angielska, która przed stoma jeszcze laty wystąpiła w obronie praw niewieścich, domagając się zupełnego usamowolnienia kobiety. Niewątpliwie dążność taka, utrzymana we właściwym zakresie, pozyskałaby dzisiaj wielu zwolenników; w wieku jednak zeszłym odmienne były zupełnie wyobrażenia.

Jeden z najpotężniejszych umysłów żyjących w tym czasie Jan Jakób Rousseau, domagający się z takiem powodzeniem wolności politycznej i wolności sumienia dla wszystkich bez wyjątku, względnie do praw niewieścich ulegał najbardziej zastarzałym przesądom, niedopuszczając w tej mierze najmniejszej zmiany. Wedle jego zdania, najpierwszym i najważniejszym obowiązkiem kobiety było bezwarunkowe posłuszeństwo dla rodziców, a następnie dla męża, wszelką zaś wyższą naukę uznawał nietylko za niepotrzebną, ale nawet za szkodliwą.

Przeciwko takiemu mniemaniu nie wahała się wystąpić Marya Wallstonecraft, pisząc dzieło pod tytułem: Obrona praw kobiety, w którem rzuciła śmiało rękawicę genewskiemu filozofowi, odpowiadając na sofizmaty z wielką ścisłością rozumowania. Ale niestety, Rousseau stał na świeczniku oświaty, któżby śmiał powątpiewać o słuszności zdań wielkiego męża, zwłaszcza w walce z przeciwnikiem, należącym do rodzaju żeńskiego. Biedna autorka nie zwróciła na siebie nawet uwagi, gdyby nie szczęśliwa myśl udania się pod opiekę byłego dygnitarza kościelnego we Francyi, z żądaniem jedynie moralnego poparcia, przez przyjęcie ofiarowanej dedykacyi napisanego dzieła. Dygnitarzem tym był Talleyrand Perigord, znany ówcześnie na polu prac dotyczących oświaty narodowej, człowiek wielkiej nauki i niepospolitych umysłowych zdolności.

W liście napisanym do niego czytamy na czele: „Autorem tej książki, jest młoda, nieszczęśliwa i prześladowana kobieta, chcąca przez zaprowadzenie zupełnej równości między dwoma połowami rodu ludzkiego, zniweczyć obecną niesprawiedliwość dotykającą rodzaj żeński.

Dalej powiada:

„Czytałam z wielkiem zajęciem i przyjemnością dzieło o narodowej oświacie i one to skłoniło mnie do ofiarowania waszej ekscelencyi spisaną przezemnie pracę. Dedykacya, tak sądzę przynajmniej, powinnaby nakłonić waszą ekscelencyą do uważnego odczytania przesłanego rękopismu. Będzie to dla mnie wielkiem szczęściem a z pewnością nie doznałabym takowego zgłaszając się do wielu tegoczesnych, tak zwanych genialnych głów, pokrywających milczeniem, lub zbywających ogólnikami rozumowanie zbyt silne, aby na takowe umieli odpowiedzieć."

Odebrawszy list taki, Talleyrand przeczytał uważnie rękopism i w liście nader pochlebnym dla autorki przyjął ofiarowaną sobie dedykacyą. Skutkiem tego, nazwisko Maryi Wollstonecraft stało się dość głośnem, ale zwykłym biegiem spraw ludzkich nie we Francyi, tylko w Anglii i w Ameryce.

Maryą więc Wollstonecraft należy uważać jako pierwszego twórcę pomysłu, usamowolnienia kobiet.

Niewątpliwie prawodawca chrystyanizmu dźwignął niewiele z właściwego jej w czasach starożytnych upadku; sobor trydencki orzekł jej moralną i duchową równość z mężczyzną, ale prawdy te

unosiły się niejako w abstrakcyi, nie wywierając stanowczego wpływu na codzienne sprawy ludzkie. Wcielenie ich w życie wymagało wieków, zanim po za obrębem stosunków kościelnych, zrodziła się myśl zastosowania takowych w praktyce, tak aby kobieta, jak się wyraża autorka energicznie, przestała być niewolnicą a została prawdziwie pożytecznym członkiem społeczeństwa.

Niektóre szczegóły z jej życia, tłomaczą przyczynę dla której została tak gorliwą reformatorką. Ojciec jej był dzierżawcą w Anglii w lasach Epping, gdzie żył swobodny i szczęśliwy niewiele się troszcząc o świat cały.

Sądził mężczyzn wedle posiadanej przez nich siły fizycznej, a kobiety wedle ślepego posłuszeństwa, stanu zdrowia i umiejętności robienia zdrowych i pożywnych przysmaków. Brak tych przymiotów wzbudzał w nim gniew i wzgardę dla biednej istoty nieumiejącej być dobrą kucharką. Zdanie to podzielali najzupełniej trzej jego synowie i dwie córki, patrzące na ojca i braci jak na półbożków, których były najniższemi służebnicami. Można sobie łatwo wyobrazić położenie biednej Maryi wśród takiej rodziny. Słabowita, delikatna, z wielkiem poczuciem osobistej godności, mająca nieprzezwyciężony wstręt do wszelkich zajęć kuchennych, prowadziła żywot prawdziwie męczeński wśród ludzi na wpół dzikich, którzy nie mogąc ani jej ocenić ani zrozumiéć, patrzyli na nią jak na upośledzone stworzenie, będące ciężarem dla całej rodziny. Bolesne wspomnienia młodości opisuje w wydanej przez siebie książce pod tytułem: „Nieszczęście być kobietą”.

„Natura uczyniła nas słabemi, mówi w niej, cóż my temu winne? a jednak słabość nasza wyrzucaną nam jest prawie jak występek. Ludzie nie mający wyobrażenia o potędze myśli i uczucia, patrzą na nas z pogardą jako na słabsze fizycznie. Wyniknęły z tego bardzo smutne następstwa, gdyż z jednej strony usuwają nas od stanowisk wymagających nauki, z drugiej od wszelkich czynności wymagających przeważnie siły fizycznej.

Marya Wollstonecraft rozbudzona z moralnego letargu właściwego jej siostrom, poznawszy niesprawiedliwość losu przypadającego w udziale rodzajowi niewieściemu, postanowiła temu zaradzić, ale znalezienie odpowiedniego środka nie było łatwem. Do wskazania koniecznej reformy potrzeba było więcej nauki i więcej doświadczenia, a na tem zbywało przyszłej autorce; nie miała nikogo zdolnego do udzielania jej odpowiednich wskazówek.

Wyższe ukształcenie, którego tak gorliwie pragnęła, rozpoczęła od czytania wszystkich bez wyjątku książek, podpadających jej pod rękę.

W postępowaniu tem nie było najmniejszego porządku, wszystko zależało od wypadku, zniewoloną też była przechodzić od jednego przedmiotu do drugiego i prawdopodobnie niepospolite jej zdolności, nie byłyby wydały pożytecznych owoców, gdyby nie jeden z krewnych, należący do duchownego stanu, który zajął się kierunkiem jej edukacyi, dając możność urzeczywistnienia powziętych zamiarów.

(Dokończenie nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. B.

(Dalszy ciąg.)

Wkrótce wieść rozeszła się po całym obozie, o dostrzeżonym uszczerbku w magazynie żywności. Wśród koniecznej bezczynności, każde słowo wymówione żywiej zwracało ogólną uwagę. Wszyscy przerażeni powstali spiesznie ze swoich posłań, z wyjątkiem jednego Johna, niby śpiącego, czem ogólną na siebie zwrócił uwagę. Inny jeszcze wzgląd mógł posłużyć za dowód oskarżenia: oto wśród znędzniałych twarzy i wyschłych ciał, on jeden zachowywał dosyć zdrową cerę i niewiele stracił na objętości. Znalazł więc jakiś dodatkowy środek żywienia się, ale jaki?

Wrzawa spowodowana prowadzoną rozmową, była zanadto wielka, aby John mógł udawać dłużej śpiącego; wstał więc, przeciągnął się i zaczął tłomaczyć się z zarzutu, zanim skarga przeciw niemu wniesioną została.

Okoliczność ta zniweczyła wszelką wątpliwość co do osoby popełniającej kradzież, wszyscy spojrzeli na niego ze wstrętem, a najwięcej dawni wspólnicy, którzy tym razem nie przyjmowali udziału w nocnej wyprawie. Chciwy i żarłoczny Niemiec działał na własną rękę.

Zanim zaczęto prowadzić śledztwo choćby dla formy, Robert zwrócił uwagę doktora na zmianę twarzy Johna, która pokryła się żółtą barwą z zielonemi podkowami około oczów.

— Dręczy go wyrzut sumienia — szepnął Robert do ucha doktora:

— Niegodziwcy podobni — odpowiedział Pawy — nie znają tego rodzaju cierpień. Jest-to zupełnie inny objaw i nie mylę się przypuszczeniem, iż będziemy niedługo świadkami zabawnego zdarzenia.

Zaledwo doktor wymówił te słowa, kiedy John zwrócił się szybko jakby chciał wyjść z obozu, ale nim zdążył oddalić się, uległ następstwom obżarstwa.

Zapalono szybko lampę, John zjadł całą szynkę odrazu, prawdopodobnie dla uniknięcia odpowiedzialności, gdyby nakazane zostały poszukiwania.

Uniesienie gniewu było ogólne, nie wiele brakowało, aby John przypłacił życiem tyle haniebny występek i może taki los byłby go spotkał, gdyby nie major Greely, dla utrzymania powagi władzy stający w jego obronie.

— Johnie! wobec towarzyszących nam okoliczności — mówił dalej major — popełniłeś prawdziwą zbrodnię, przywłaszczając samowolnie dwufuntową szynkę. Pomimo zachowywanej przez ciebie tajemnicy, sama Opatrzność wykryła twoją winę, co powinno być dla ciebie ostrzeżeniem na przyszłość. Chociaż nie obraziłbym sprawiedliwości wymierzając na ciebie karę, ale nie chcę tego uczynić, skoro odpowiednie przepisy prawa nie były ogłoszone. Od tej jednak chwili nie zapomnij, że czyn podobny bez względu na ilość skradzionego przedmiotu, ukarany będzie śmiercią. Bezzwłocznie ogłoszę w tej mierze rozkaz dzienny.

Przemowa majora wywołała oznaki zadowolenia, jakoż wkrótce ułożył następujące pismo zaopatrzone pieczęcią Stanów Zjednoczonych:

„Zważywszy, że kradzież żywności w okolicznościach jakich się znajdujemy, stanowi zbrodnię szkodliwą dla bezpieczeństwa wszystkich bez wyjątku członków naukowej kolonii podbiegunowej:

„Zważywszy, że podobny wypadek miał już miejsce, chcąc więc zapobiedz nadużyciom tego rodzaju:

„Podpisany stanowi, że każdy przekonany o kradzież żywności, ukarany będzie śmiercią przez rozstrzelanie.”

Ponieważ podkomendnych majora, przed wyjazdem z Ameryki badała komisya lekarska i tylko ludzie zupełnie zdrowi przyjęci byli na okręt, przez długi więc czas kolonia trzymała się w pożądanym stanie zdrowia.

Dopiero sierżant Cross, 18 Stycznia rozpoczął listę zmarłych. Luty i Marzec przeszedł jakoś szczęśliwie, ale 5 Kwietnia umarł poczciwy Eskimos Fryderyk, następnie sierżant Linn wydał ostatnie tchnienie; 9 Kwietnia przyszła kolej na dzielnego porucznika Lockwooda, a nareszcie skończył życie sierżant Jewel. Śmierć zapalonego łowca Jensa, opowiedzieliśmy poprzednio, a miała ona miejsce w końcu tyle złowróżbnego miesiąca. Pierwsza połowa Maja przeminęła bez spisania aktów zejścia, ale 19 zmarł żołnierz Ellis, 23 sierżant Ralson, 24 żołnierz Whitler, 2 Czerwca sierżant Kislingsbury. Niezadługo inna ofiara miała przypłacić życiem swoje poświęcenie dla nauki.

Doktor Pawy na pozór był zdrów i silny, ale nerwowy wielce ulegał łatwo zewnętrznym wrażeniom; zniewolony do ciągłego towarzystwa ze zbójcami, tak nazywał złodziei żywności i ludożerców, tracił coraz bardziej właściwą sobie odwagę, moralne zgnębienie było widoczne w całej jego postawie.

Szczególniej trapiła go ta okoliczność, że w kole towarzyskiem w którem się znajdował, ludzie uczciwi i prawi zostawali na łasce wyrzutków społeczeństwa.

— Niegodziwcy mają przewagę — mówił z goryczą — kradziona żywność wzmacnia ich siły, gdy my słabniemy z każdą chwilą. Skoro magazyn będzie zupełnie wyczerpany, znajdą jeszcze utrzymanie za pośrednictwem naszem.

Mówiąc to wstał z posłania przechadzając się niepewnym krokiem po obozie. Widoczna rozpacz przebijała się w każdem jego poruszeniu i słowie, nareszcie zawołał prawdopodobnie pomimowoli:

— Nie chcę i nie będę służyć ludożercom za pożywienie.

Prócz troski o pośmiertny los swego ciała, zajmowała go jeszcze rozmowa o Francyi i o jego rodzinie; wszystkie inne szczegóły były mu obojętne. Nie dbał nawet o należny mu dział strawy, zmuszano go prawie do jedzenia, wydawał ostateczne rozporządzenia jakby nie wątpił o czekającej go śmierci.

— Skoro umrę — mówił — powiedzcie żonie, aby przestała być nauczycielką. Niech wraca do swej rodziny, znajdzie utrzymanie za pośrednictwem pensyi, którą jej wypłacać będzie rząd Sta-

nów Zjednoczonych, jako wdowie po człowieku, który zginął dla rozwoju nauki i chwały Północnej Ameryki.

W chwilach spokojniejszych nieco, opowiadał historyą oficera francuzkiego Bellot, również ofiary podbiegunowej wycieczki, któremu Anglicy wystawili pomnik w Greenwich. Przechodząc myślą do Paryża, wspominał z pewnem rozrzewnieniem o znajdującem się tam towarzystwie geograficznem, wymieniał znakomitszych jego członków, wskazywał rodzaj dalszych prac i konieczność przyjmowania przez Francyą udziału we wszelkich wyprawach dotyczących geograficynych poszukiwań.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Treść: Nerwowość społeczna i dzieło prof. Krafta w Mnichowie. — Rozpamiętywania naszej prasy peryodycznej. — Sokrates, jego spokój i skromność. — Harmider noworoczny. — Zastój ekonomiczny.—Ubytek czytelników i prenumeratorów. — Tygodnik Powszechny. — Właściwa przyczyna jego upadku.—Rada w kłopocie. — Oszczędność zalecona przez p. J. Wieniawskiego. — Karnawał i spodziewane zabawy taneczne. — Ugoszczenie dzieci w Żyrardowie i w Paryżu. — Msza zwana pasterską bez wystawnej muzyki.

Nerwowość, jak przynajmniej utrzymują uczeni, jest podobno barwą obecnych czasów, zkąd ma wypływać powszechne szamotanie się ducha ludzkiego, jego burzliwość, gwałtowne przechodzenie równie gwałtownych wybryków zuchwałej myśli, ze szczytów niebotycznych w bagnisko zwątpienia i moralnego upadku.

Profesor Kraft Ebing z Mnichowa, napisał obszerne dzieło p. t. *Nasz wiek nerwowy*, w którem jasno wykazawszy ciemne strony życia społecznego, dowodzi w końcu bardzo zasadnie, że chorowitości drugiej połowy naszego wieku nie należy przypisywać przypadkowi, lecz gwałceniu praw natury niezmiennych, które mszcząc się za ich lekceważenie karzą nas nerwowem osłabieniem i niedołęztwem, czyli nerwowością, ową nieznośną wrażliwością na wszystko co silniej na umysł działa.

Rozpamiętywania wielu naszych organów prasy peryodycznej nad ubiegłym rokiem i nowo powstałym, noszą wyraźne ślady tej chorowitości nerwowej, wywołującej okrzyk strachu: co to będzie! Źle było, to prawda, ale kiedyż to było bezwarunkowo dobrze? Kiedyż to ludzie na ciężkie czasy nie narzekali? Owe lepsze chwile z dalszej przeszłości, są tylko złudzeniem optycznem, w którem co szpetne niknie z krajobrazu w oddaleniu rozpatrywanem. Na świecie zawsze było niedobrze i nigdy nie będzie dobrze w ścisłem tego słowa znaczeniu, bo ustrój ducha ludzkiego z całym przyborem właściwych mu namiętności, zawsze niezwalczoną stawiał i stawia przeszkodę, aby nie dobre ale złe rej na świecie wodziło.

Sokrates, ów mędrzec ateński, któremu równego ludzkość dotąd nie wydała, cały spokój ducha swego zawdzięcza jedynie jego mocy i wyrobionej skromności, pojmującej z największą szczerością, że chociaż zjadł rozumy całego świata jest jednak prostakiem wiedzącym to, że nic nie wie.

Gdy więc złe wrzało koło niego nie straszył się niem, bo miał spokój w sobie i choć poganin *wierzył*, że *Moc*, która wszystkiem rządzi, jest tak wielką i doskonałą, że choć najmędrszy z ludzi, pojąć jej nigdy nie zdoła.

W harmidrze noworocznym, jakim zawrzało dosyć pism peryodycznych, brak widoczny tego spokoju ducha i skromności zdobiącej Sokratesa. Złe czasy nie spadają na świat jak aerolity z rozbitej komety Biela, ale tworzą je ludzie i ich czyny. Jaki zasiew taki plon, jaka praca taka płaca, jaka przyczyna wreszcie, mówiąc pozytywnie, taki jej skutek.

Pomijając ludzkość całą i społeczność naszą narzekającą na zastój ekonomiczny; pomijając różne kwestye fabryczne i rolnicze na tem najwięcej cierpiące, dotknę tylko choć pobieżnie kwestyi czytelnictwa i prenumeraty pism peryodycznych, która była tą małą odrobinką, co jak w kwestyi wschodniej, poruszyła Dzienniki nasze i Tygodniki do ubolewań nad zmniejszeniem się liczby czytelników. Powód do tego główny dało zlanie się *Tygodnika Powszechnego* z *Tygodnikiem Illustrowanym*.

Tygodnik Powszechny upadł nie w skutek zmniejszenia się zamiłowania czytania, ale z braku racyi bytu, bo powstał nie z powodu upatrzonej potrzeby społecznej, ale jedynie z interesu spekulacyjnego, szukającego wszędzie zysku, gdzie się go da uchwycić. Trzy illustracye jakie już były, aż nadto odpowiadały potrzebie społecznej, gdy czwarta przybyła a potem piąta, naturalnie poprzednikom musiały zaszkodzić a i same nie mogły stanąć na pewnych nogach. Tygodnik więc powszechny upadł bo był tylko współzawodnikiem a nie organem istotnej potrzeby społecznej. Lat temu nie tak wiele, czwarta część pism dziś wychodzących przedstawiała prasę peryodyczną, gdy przyszło ułatwienie zakładania nowych, liczba ich wkrótce potroiła się i każde miało dostateczną liczbę prenumeratorów, bo tego wymagała potrzeba społeczna, niemogąca być przedtem zaspokojoną. Ale gdy nowa serya zaczęła ich przybywać, ta już przekroczyła granice rzeczywistej potrzeby, i dlatego obchudziła drugich a sama nie utyła.

Że zastój ekonomiczny trapiący całą Europę i nam krzywdy wielkie wyrządza, to dowodzenia nie potrzebuje: ża zaszkodził i całemu u nas wydawnictwu peryodycznemu, to także nie ulega wątpliwości.

Ale krzepmy się, radźmy i nie upadajmy na duchu. Dyabeł nie zawsze bywa tak strasznym jak go malują.

Pan Julian Wieniawski przedstawiając w Kuryerze Warszawskim obecny stan ekonomiczny w barwach bardzo ponurych, powiada że w środkach pomocniczych do ratunku z tego przykrego położenia, jest jeden, który jakkolwiek nie jest radykalny, ale ma tę zaletę, że zastosowanie go leży w mocy każdej jednostki, obdarzonej zdrowym rozsądkiem. Środkiem tym jest... oszczędność, ale także rozumnie pojęta i rozumnie zastosowana,

W magicznem tem słowie, powiada autor, mieści się tajemnica, dla której przesilenia rolne i przemysłowe za granicą mniej niż u nas są dotkliwe.

Wielkość ekonomiczna Francyi, której pięciomiliardowa nawet kontrybucya zachwiać nie zdołała, tylko w ogólnej oszczędności narodu główne swe źródło czerpie. Siła ościennych nam Niemiec, dobrobyt Belgii, Holandyi, Szwajcaryi, także na tej trwałej spoczywają podstawie.

Gdyby przesilenie dzisiejsze zastało było rolnika zaopatrzonego w pewien zapas gotowizny z lat dobrych; gdyby cukrownie nie wydawały były kilkudziesięciowych dywidend w ostatnich latach, pomnąc, że przyjść mogą lata cięższe; gdyby wielkie zakłady metalurgiczne, upojone 50 proc. dywidendami z dwóch lat z rzędu po sobie idących, zaoszczędziły były choć połowę owych zysków; gdyby wreszcie cały tryb życia i skala wydatków naszych nie były się normowały podług wyjątkowych tylko dochodów, ale na podstawie rezultatów przeciętnych z lat złych i dobrych zarówno... moglibyśmy wówczas z mniejszą obawą spoglądać w przyszłość, bo nagromadzony kapitał oszczędności, stanowiłby skuteczną obronę i dałby nam ową siłę odporną, którą narody Zachodu same w sobie znaleźć umieją.

My jej dziś nie posiadamy, ale posiąść ją jeszcze możemy. Lepiej późno niż nigdy, powiada przysłowie, czas więc jeszcze opatrzéć się w położeniu ekonomicznem, byleśmy w nie jasno spojrzeli, nie zdając się na los szczęścia...

Pomimo tych narzekań, smutnych przewidywań, obaw, trwogi i przypuszczeń wielce znaczących, o karnawale choć długim, jakoś coś wesoło przebąkują. Głoszą już dawno o projektach bali różnych korporacyi, resurs, klubów, o wieczorach i wieczorynkach, o balu literatów i artystów, wreszcie o szeregu zabaw tanich dla rzemieślników. Przesilenie więc ekonomiczne nie musi być tak wielkie a przynajmniej w skutkach swych tak straszne, jak głoszą i narzekają, skoro zabawa nie idzie w zapomnienie.

Z przedświątecznych dziejów donoszą nam jeszcze, że dzieci w ochronie Żyrardowskiej otrzymały od opiekunów różne podarki kolendowe. Była to wielka uroczystość! W dzień przeznaczony na nią, trzysta par dzieci weszło przy odgłosie marsza do sal resursowych przeznaczonych na zebrania urzędników fabryki.

Radość już panująca na buziach dziatwy podwoiła się, gdy otoczyły nizkie stoły zastawione: bakaliami, piernikami, struclami i podarkami z ciepłej odzieży. Nie brakło także podarunków w torbach napełnionych: mąką, kaszą ryżem i t. p., tak iż każde dziecko wraz z rodzicami zostało dostatecznie zaopatrzone na święta. Przytem rzęsiście oświetlony las z choinek obwieszonych złoconemi orzechami, piernikami, cukierkami i t. p., dodawał uroku całemu zebraniu. Gwarno też było pomiędzy stołami, uśmiechnięte buzie jaśniały radością a oczy dziatwy spoglądały dziękczynnie na chodzących pomiędzy niemi opiekunów, którzy do każdego przemawiali z zachętą do zabawy.

W Paryżu podobnie ugoszczono cztery tysiące dzieci biednych rodziców, ze wszystkiemi przyborami na jakie tylko zdobyć się może wyrobiony gust francuzkiego społeczeństwa. Jakiż to prześliczny musiał być widok tak licznego korpusu samych dzieci, uszczęśliwionych otrzymanemi darami.

Donoszą nam jeszcze ztamtąd: we wszystkich kościołach odbyła się w roku zeszłym msza pasterska, bardzo skromnie, bez hałaśliwej muzyki, jedynie tylko przy akompaniamencie organów. Stało się to w skutek objawionego życzenia Papieża dzisiejszego, Leona XIII, który pragnie zupełnie usunąć z kościołów śpiewy i muzyki, o ile takowe z obrzędu religijnego czynią rodzaj koncertu lub widowiska teatralnego.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH

Styczeń 1886 r.

Noworoczną korespondencyą naszą zaczniemy podobno najwłaściwiej opisem wieczorowych i balowych tualet. Widzieliśmy właśnie w jednym z wielkich magazynów tutejszych, cały zapas sukien przygotowanych do Nicei, dajemy tu wierny ich opis.

Do najmodniejszych w tym roku należą suknie tiulowe, noszą je białe, w odcieniu śmietankowym, przerabiane w większy lub mniejszy deseń. Widzimy też tiul biały w groszek, haftowany szenelą kolorową: ponsową, różową, błękitną lub pomarańczową. Strojniejsze od tych jeszcze suknie z tiulu jedwabnego w rozmaitych kolorach, naszywane w rzucik szenelką lub paciorkami.

Przyjęta również do balowego ubrania, krepa w różnych kolorach i różnym gatunku, zacząwszy od sztywnej krepy angielskiej, do leciuchnej francuzkiej *crêpe lisse*.

Z innych fantastycznych tkanin, uważaliśmy gazę w pasy atłasowe zwaną *gaze pekin*: pasy i tło jednego są koloru, na tle gazowem przerabiany drobny jedwabny rzucik.

Ładnie też wygląda gaza biała lub śmietankowa, zasiana cała groszkiem kolorowym.

Oprócz tego przyjęta na suknie, przezroczysta kanwa jedwabna i etamina w kwiaty przerabiane jedwabiem. Młode mężatki noszą suknie z pluszu fryzowanego.

Suknie do tańca zwłaszcza dla panienek, sięgają ledwie ziemi; turniury i puffy w ogólności mniej rozniesiste od przeszłorocznych.

Po tych ogólnych uwagach przystąpmy do opisu pięknych sukien, któreśmy w tych dniach oglądali.

Suknia pluszowa, w kolorze blado różowym, spódniczka krajana prosto, mocno przyfałdowana w tyle, otwarta z lewego boku, z pod otworu wygląda słup z krepy angielskiej, plisowanej w podłużne zakładki, wązki w górze, rozszerzony znacznie u dołu. Przez ten słup, przechodzi trzy razy w poprzecz wstążka w równych od siebie odstępach, na każdej wpięta kokarda atłasowa z małą różyczką w środku. U dołu kokarda największa; dwie inne zmniejszają się stopniowo. Stanik z bawetem, wycięty w chusteczkę, przód zdobi plastron, naszyty perłami. Od boków do tyłu przedłużony stanik tworzy baskinę, z pod bawetu na każdą stronę wybiegają trzy pukielki ze wstążki. Rękawów nie ma wcale, tylko wązkie pluszowe ramionczka. Z boku na plastronie wpięta kokarda z różą.

Druga suknia (równie jak pierwsza, przeznaczona dla młodej mężatki), z jedwabnej materyi *faille* w kolorze błękitno zielonkowatem *bleu du Nil*. Spódnica prosta, mocno przyfałdowana w tyle, przód gładki, z każdego boku idzie wielki kontrafałd, szeroki na pół łokcia, z obu stron tego kontrafałdu wychodzi koronka alansońska lekko namarszczona. Stanik bardzo oryginalny, w tyle zachodzi na szyję, z przodu otwarty i wycięty okrągło. Z pod otworu wygląda kamizelka atłasowa w tymże samym kolorze, mocno wykrojona, spięta na trzy guziki. Przody stanika powleczone gładko alansońską koronką. Pod spód idzie szmizetka namarszczona z leciuchnej krepy, ujęta w obróżkę aksamitną tego koloru jak suknia. Rękawy u łokcia, zakończone koronką, na ramionach małe kokardki.

Ubranie balowe dla panienki. Suknia z tiulu białego w odcieniu śmietankowym. Spódniczka składa się z trzech wolantów, zakończonych obrębem z podwleczoną wstążką ponsową. Na to spada druga spódniczka tiulowa w ponsowy groszek jedwabny, przytwierdzony z lewego boku, gałązkami geranii. Stanik z mory ponsowej, gładki, obcisły, wycięty czworograniasto, na wykroju nagarnirowana niezbyt szeroka koronka.

Druga suknia balowa dla panienki: Spódniczka z fularu *surah* blado różowego, u dołu wybiega plisowana falbaneczka na dwa cale. Na to idzie druga spódniczka biała tiulowa, w deseń. Z przodu dwa wielkie wolanty, tworzą długi fartuszek, fantastycznie podpięty po bokach, puklami ze wstążki różowej. Z tyłu bryt bardzo rzęsisty, spada do samego dołu. Stanik wycięty w chusteczkę, zupełnie gładki, tiulowy na różowym, wzdłuż przodów przechodzi czterema rzędami różowa wstążka, zakończona u dołu pukielkiem, cztery rzędy przechodzą też wzdłuż pleców. W stanie przepasana szarfa różowa, związana z boku na kokardę z końcami. Rękawy szerokie, przymarszczone na ramieniu i u łokcia, ujęte w obróżkę atłasową, naszytą różowemi perełkami, także obróżka przechodzi wkoło szyi.

Ubranie na mniejszy wieczór dla panienki lub młodej mężatki. Spódniczka z gładkiej materyi jasno orzechowej, prosta, nafałdowana w tyle. Na to druga z lekkiej bengaliny, rozcięta z lewego boku, rozchodząca się u dołu dosyć szeroko. Na tem rozcięciu, idzie wstążka szeroka na dwa palce, przyczepiana z obu stron w gzygzak, do brzegów bengalinowej spódniczki i w tychże miejscach przytwierdzona kokardą. Po prawej stronie wierzchnia spódniczka lekko podniesiona w górę. Stanik bengalinowy z długim bawetem: na przodzie plastron z paciorków drewnianych *perles de Jericho*, długi, przechodzący poniżej bawetu. Kołnierzyk stojący, przewiązany błękitną wstążeczką, z małą kokardą na boku. Także wstążeczka zakończa rękaw poniżej łokcia.

Bengalina w różnych kolorach, bardzo używana na wieczory i do teatru. Tkanina to lekka i układna, z wełny pomieszanej z jedwabiem. Uważaliśmy inną jeszcze sukienkę z bengaliny koloru słoniowej kości *ivoire*. Spódniczka mocno nafałdowana, z przodu całkiem otwarta. Zapełnia ten otwór fartuszek tiulowy w drobne muszki, sięgający do ziemi, przemarszczany w odstępach i przewłoczony wstążką. Fartuszek ten łączy się ze spódnicą rzęsistemi puklami ze wstążki morowej.

Powiedzmy teraz słówko, o zarzutkach do wejścia na bal. Widzieliśmy rozmaite w magazynach paryzkich. Najstrojniejsze z pluszu jedwabnego w rozmaitych kolorach, watowane, podbite atłasem, mają formę przyfałdowanego płaszczyka, sięgającego do kolan. Uważaliśmy takież same z broszowanego atłasu; ogarnirowane futerkiem białem.

Mniej strojne, robią z białego astrachanu, lub z innej tkaniny wełnianej, w formie wielkiej wizytki, przedłużonej z przodu. Garnirunek składa się z dwóch wolantów z koronki wełnianej. Kołnierz do tego stojący z białego *plumażu*; u rękawków takież mankiety.

Najskromniejsze okrywki balowe, robią z białego kaszmiru, w formie mantyli, watowane, podbite marseliną, obłożone białemi królikami.

Plastrony powszechnie dziś przyjęte, wyborna to moda, gdyż urozmaica ubranie i nie bardzo kosztowna. Nic wygodniejszego na mróz jak plastron pluszowy, ujęty u szyi w obróżkę, przymarszczony na piersiach, w stanie obciśnięty paskiem, albo przepięty wielką broszą, poniżej stanu spadający w formie wachlarza. Noszą je w rozmaitych kolorach: ponsowe, szafirowe, czarne i t. d. wiele z nich zdobią po bokach i na obróżce paciorkami jerychońskiemi.

Widzimy też krótsze plastrony sięgające tylko do paska. Robią je z plisowanego kaszmiru w żywych kolorach, objęte wkoło czarnym paskiem aksamitnym, zahaftowanym w deseń, także obróżka idzie wokoło szyi, plastron ten szeroki w górze na pół łokcia, zwęża się zupełnie u stanu.

Noszą też powszechnie obróżki wszelkiego rodzaju. Do wyjścia na ulicę przyjęte kastorowe lub z innego futerka, związane z boku na małą kokardkę. Robią je także z pluszu i aksamitu w rozmaitych kolorach, zdobią drewnianemi grelotkami, naszywają dżetem albo pacioreczkami z ołowiu, które dziś należą do najmodniejszych. Zaczynają się też upowszechniać obróżki na ręce z aksamitu, pluszu i t. d.

Do balowego ubrania, przyjęte ogólnie wycięte trzewiczki na prostych obcasach, tego samego jak suknia koloru. Pończoszka jedwabna, również ma być zastosowana do sukni.

Rękawiczki duńskie, bardzo długie, służą do najmodniejszego ubrania.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Szkoła rzemiosł imienia Konarskiego** zyska wiele pożytecznych innowacyi. P. Kühn przełożony szkoły rzemiosł przy ulicy Jasnej, wysłany w charakterze delegata do Rossyi i Szwecyi dla zwiedzenia istniejących tam zakładów naukowych dla rzemieślników, z wędrówki już powrócił i przywiózł dużo cennych wskazówek pracy ręcznej dotyczących.

P. K. zwiedził w Petersburgu szkołę specyalną, instytut nauki pracy ręcznej, muzeum rzemiosł i szkołę rzemiosł imienia cesarzewicza. Następnie, w Szwecyi szkołę ludową z nauką rzemiosł w Sztokholmie, szkołę specyalną pracy ręcznej z oddziałami nauki i robót z drzewa, introligatorskich, z tektury i z metalu, szkołę Polnegrena i szkołę techniczną. W Naäs seminaryum nauczycielskie, w Göteburg szkołę pracy ręcznej, szkołę służących i szkołę kalek. Następnie zwiedził szkołę rzemiosł w Berlinie, Chemnitz i Pradze czeskiej.

Oprócz sprawozdania z wycieczki, które należy się komitetowi szkoły imienia Konarskiego, p. Kühn ogłosi wrażenia z podróży i opisy zakładów jakie widział, w jednem z pism tutejszych.

Będą to bezwątpienia rzeczy bardzo ciekawe.

*** **Prawa autorskie** nieuregulowane u nas do tej pory domagają się jakiegoś ładu i porządku koniecznie.

Szanowny J. I. Kraszewski odzywa się w tym przedmiocie, protestując przeciwko bezceremonialnemu przerabianiu jego powieści na scenę.

Czyż to być może, spyta czytelnik, żeby ktoś skorzystał z pomysłu autora nie pytając nawet czy mu to uczynić wolno!

A jednak są to nadużycia, będące dziś na porządku dziennym, słusznie też mówi Kraszewski, że pokrzyw-

dzony autor w imię zasady, energicznie bronić się powinien. Autor powieści z której wzięta jest treść dramatu lub komedyi, jest współautorem tegoż, utworu dramatycznego, słusznie więc należy mu się udział w korzyściach. Co więcej tenże autor ma prawo udzielić pozwolenie lub odmówić go, czyli powierzyć swój pomysł w ręce, które uzna za odpowiednie.

Serdecznie przywiązany do naszego społeczeństwa, Kraszewski ubolewa nad tym brakiem poczucia sprawiedliwości, którego ofiarą padły w ostatnich czasach dwie jego powieści: Herod Baba i Hrabina Kosel.

Nie pojmujemy jak to się stać mogło. Cóż łatwiejszego jak napisać i o pozwolenie przeróbki poprosić; sądzimy, że tak nakazywałaby prosta grzeczność. i o niej nawet zapomniano.

*** **Przemysł fabryczny** w kraju naszym, zwolna wprawdzie lecz stale ożywiać się zaczyna. Kupcy rosyjscy zgłaszają się z żądaniami znacznych stosunkowo zakupów, oblicza producentów zasępione od wielu już miesięcy, wypogadzają się, w warsztatach nowe zawrzało życie.

Pocieszające te wieści dochodzą do nas z Tomaszowa Rawskiego, gdzie jak pisze korespondent, panuje ruch niezwykły, z Zawiercia donoszą o wyczerpaniu zasobów i mnóstwie obstalunków, a nawet Łódź osadzona przez pewien czas na mieliznie wypływa jakoś szczęśliwie.

Ku zachęcie naszych gospodyń wiejskich, które zrozumiawszy własne dobro, same zajęły się pachtem, dodajemy przy sposobności, że niemieccy ajenci zakupili w tym czasie znaczną partyę masła do Berlina. Masło litewskie wysyłane już jest zagranicę oddawna. od nas zaś ten transport był pierwszym, ale z pewnością nie ostatnim, gdy nasze gosposie zechcą zrobić konkurencyą niemkom w tej gałęzi specyalności, którą praktyczne córy Germanii doprowadziły do pewnej perfekcyi. Wyrób serów na eksport zyskał także widoki powodzenia, zwłaszcza w ostatnich czasach gdy Austrya zaczęła w nich smakować.

*** **Wystawa szkiców** powiodła się wybornie, dużo prac znalazło nabywców, a obecnie, jeden z tutejszych malarzy, stara się o pozwolenie otwarcia w Warszawie stałej wystawy szkiców malarskich oraz przedmiotów sztuki zastosowanej do przemysłu.

Słyszeliśmy nawet, że starania te są już na dobrej drodze i że wystawa prowadzoną ma być na sposób monachijskich Kunst-handlung, czyli że oprócz sprzedaży komisowej, nabywać będzie nadsyłane przez artystów przedmioty.

Sądzimy, że ta wiadomość obudzi szerokie zainteresowanie wśród naszych czytelniczek, które malarstwem się zajmując, przyzwyczaiły się z konieczności uważać je za miłą lecz niepopłatną zabawkę. Przy ułatwionym zbyciu prac tego rodzaju, *zabawka* może naprawdę dać kawałek chleba.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Z dziejów jaskini.** Dom gry w Monte Carlo, stał się przedmiotem ogólnej uwagi w całej Europie, która to okoliczność może stanowczo wpłynąć na losy instytucyi mającej wpływ tak fatalny.

Z polecenia konsula jeneralnego w Nizzy, zebrano materyały statystyczne, dotyczące ofiar, jakie pochłonęłe ta jaskinia i w osobnej broszurce komitet międzynarodowy rozesłał je do wszystkich rządów europejskich, w celu wywołania wspólnej akcyi przeciw Karolowi III. W broszurce znajduje się sporządzona według akt lista samobójstw popełnionych w Monte-Carlo przez czas ostatnich lat ośmiu, przedstawiająca cyfrę 1820, czyli prawie tyle głów, ile władzca Monaco liczy poddanych.

Oprócz tego, zamieszczono listy pożegnalne samobójców, w których wszyscy przeklinają godzinę wejścia do szulerni.

Największego procentu samobójców dostarczały: Włochy, Francya i Rossya; najmniejszego Anglia i Ameryka.

*** **Spekulant** w rodzaju sławnego Hugona Szenka, zjawił się w Wiedniu. Śmiały łotr nie zabija jednak swych ofiar, lecz obdziera je tylko. Przystojny, elegancki, wciska się do bogatych rodzin, mających córki na wydaniu, występuje w charakterze konkurenta i żeni się niebawem.

W poślubnej podróży, zabrawszy pieniądze i kosztowności, żonę zostawia na pierwszej lepszej stacyi, sam zaś ucieka, prowadzić dalej niegodne rzemiosło.

Przed kilkoma tygodniami, jako książę C. ożenił się z córką bogatego przemysłowca, a zagrabiwszy 50,000 zlr. i kosztowności, czmychnął bez śladu. Policya dokłada wszelkich starań, aby go wynaleźć, dotychczas jednak nie jest jeszcze na tropie, chociaż łotr znajduje się może gdzie blizko i żeni się znowu z jaką łatwowierną bogaczką.

*** **Nasi podróżnicy.** Stefan Rogoziński i Leopold Janikowski z dalekiej wyprawy powrócili i obecnie znajdują się w Krakowie.

Przywieźli oni bogaty zbiór osobliwości, którémi zamierzają obdarzyć Muzeum przemysłowo-techniczne.

Pan Rogoziński zostanie przez dłuższy czas w Krakowie, gdyż zamierza opracować dokładne sprawozdanie z odbytych podróży, które ogłosi następnie w dwóch językach: polskim i angielskim.

Później zaś, celem dalszych badań, podróżnicy udadzą się znowu do Afryki. Widocznie przygnała ich tutaj tęsknota.

Odżywszy sercem i duchem pomiędzy swoimi, powrócą do badań, dla których poświęcili już tyle.

*** **Okropny wypadek.** Znany dentysta paryzki, Duchesnes, użył zbyt silną dozę gazu rozweselającego przy operacyi zęba u jednego z pacyentów, w skutek czego rezweselony zasnął na wieki.

Przypuszczać należy, że ma przynajmniej sny przyjemne. Nie wystarczało to jednak rodzinie zmarłego która dentyście wytoczyła proces.

Sądy skazały p. Duchesne na zapłacenie wdowie 3,000 fr., oraz 600 tytułem kary.

Obie strony zapelowały od powyższego wyroku.

Wdowa chce widać większego wynagrodzenia, lecz czegóż może spodziewać się dentysta?

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

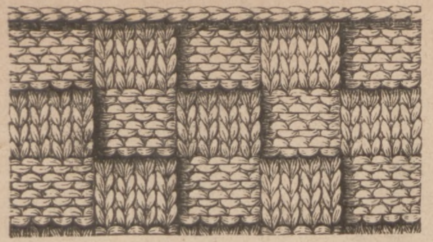
Ubranie wieczorowe. Odrobione z gładkiej i desenowej materyi ma spódnicę układaną w szerokie fałdy, przysłoniętą z przodu krótką, z tyłu długo spadającą draperyą. Plisy nksamitne; stanik krótki z tego co plisy koloru; rękawy i berta koronkowe.

Ubranie balowe. Suknia z jasnej jedwabnej materyi z draperyą koronkową, stanik bawetowy z koronkową kamizelką. Kokardy z wstążki w dwóch kolorach.

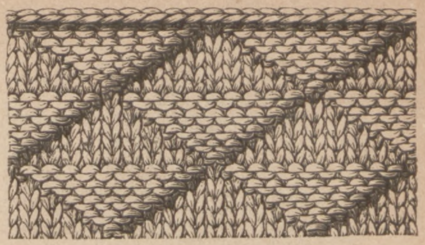
Ubranie balowe dla młodej panienki. Na spódnicy z różowej materyi upięta druga zwierzchnia z gazy jedwabnej, zdobna kokardami i kwiatami. Stanik bawetowy z szarfą fantazyjnie upiętą.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Декабря 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).



N. 1. Tło robione na drutach, na ściereczkę do kurzu ryc. 11.



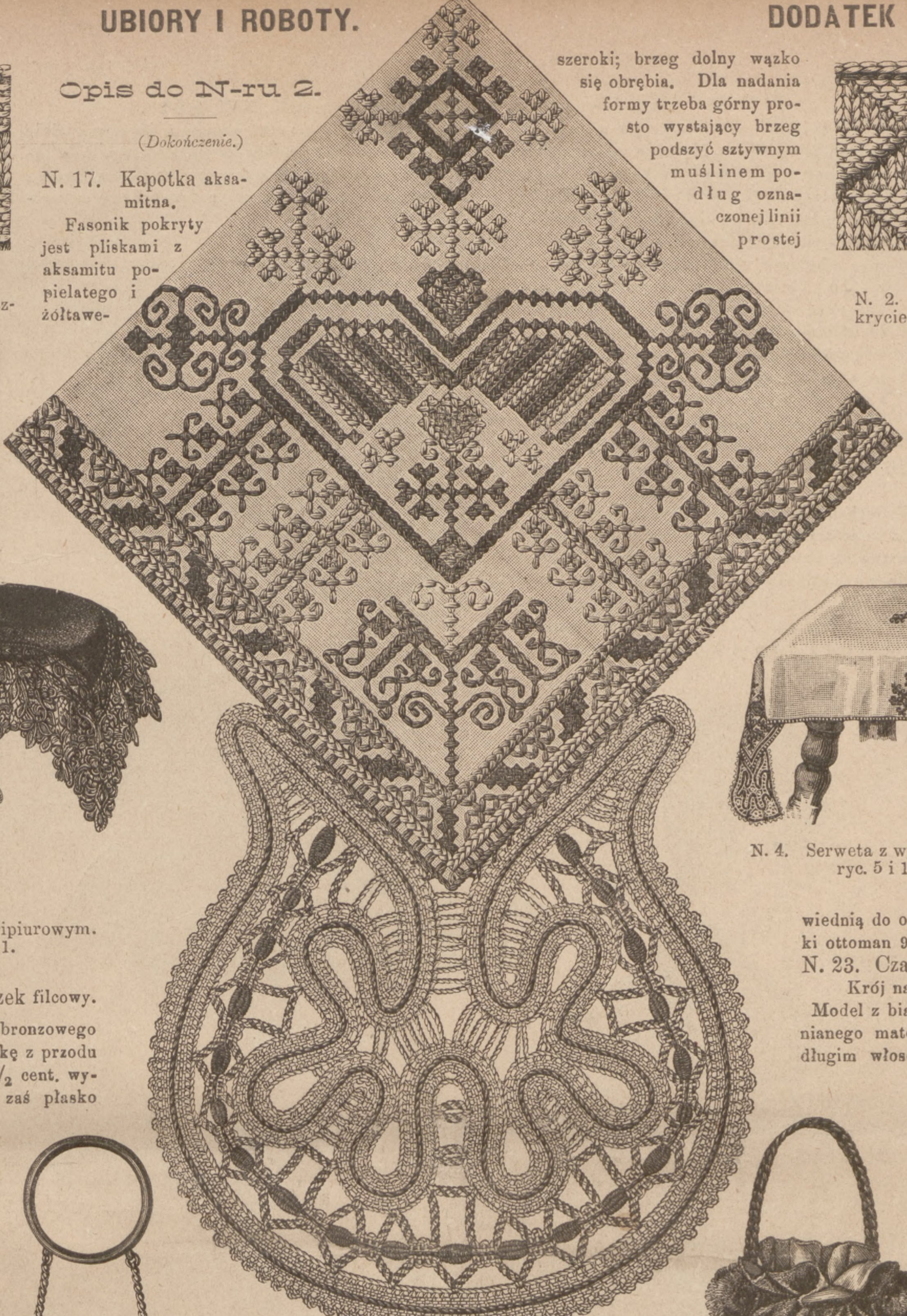
N. 2. Tło robione na drutach na pokrycie szczotki do zamiatania, ryc. 16.

Opis do N-ru 2.

(Dokończenie.)

N. 17. Kapotka aksamitna.

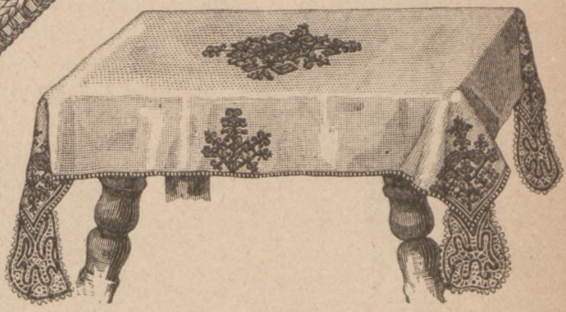
Fasonik pokryty jest pliskami z aksamitu popielatego i żółtawego, $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiemi; popielate pliski ściśle krzyżują się z sobą środkiem główki, zaś na rondku rozchodzą się stopniowo do 2 cent. i podwijają pod spód. Odstępy między niemi zapełniają pliski żółtawe; końce do wiązania liczą 80 cent. długości. Przybranie stanowi kitka z piórek rajskiego ptaka, otoczonych strusiemi.



N. 5. Narożnik do serwety ryc. 4. Wyszycie krzyżykowe i robota z tasiemeczki wykonanej ręcznie na klockach. Patrz ryc. 13.



N. 3. Serweta z haftem gipiurowym. Patrz ryc. 3 w N. 1.



N. 4. Serweta z wyszyciem i narożnikami. Patrz ryc. 5 i 13, tudzież fig. 86—88.

N. 18. Toczek filcowy.

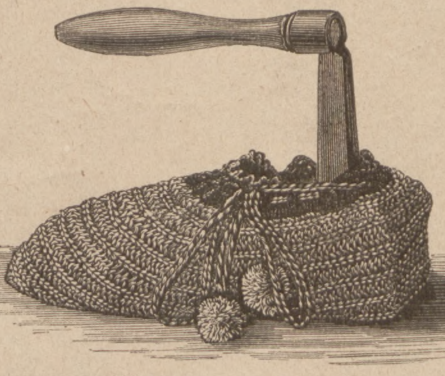
Toczek z bronzowego filcu ma główkę z przodu 10, z tyłu $8\frac{1}{2}$ cent. wysoką, rondko zaś płasko wywinięte jest 6 cent. szerokie, pokryte gładko aksamitem. Przybranie stanowi skos aksamitny, trzy wielkie pompony z piórek puszystych i kilka gładkich piórek osypanych proszkiem metalicznym.



N. 6. Robota na drutach i ząbki szydełkowe do pokrowca na żelazko ryc. 8.



N. 9. Woreczek do robót.



N. 8. Pokrowiec na żelazko.



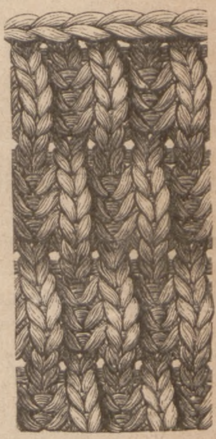
N. 11—12. Ściereczki do kurzu robione na drutach. Patrz ryc. 1—2.

N. 22. Zarzutka flanelowa. Krój na arkuszu N. XV, fig. 81.

Fig. 81 daje formę połowy kapotki, którą dopełnić trzeba u dołu podług miar wskazanych na długość i szerokość, przez co utworzy się trójkąt bez szwu, u góry ścięty prosto. Krając kapotkę z miękkiej kolorowej flanelki, potrzeba z brzegów bocznych naddać materyału na obręb 9 cent. szeroki; brzeg dolny wązko się obrębia. Dla nadania formy trzeba górny prosto wystający brzeg podszyć sztywnym muślinem podług oznaczonej linii prostej i wywinąć pod spód, pasując gwiazdką do gwiazdki i dwukropkiem do dwukropka, następnie zaś niewidocznemi drobnemi ściegami zaszywa się fałdy, oznaczone krzyżykami i linią prostą. W miejscu oznaczonem gwiazdką podszywa się elastykę, odpowiednią do objętości głowy. Kokardy z wstążki ottoman 9 cent. szerokiej.

N. 23. Czapeczka okrągła dla chłopczyka. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 77.

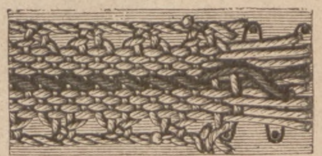
Model z białego wełnianego materyału z długim włosem, składa się z denka podanego w połowie na fig. 77, przymarszczonego wokoło podług objętości głowy i z prostego paska 4 cent. szerokiego, z żółtawej wstążki morowej, podłożonej sztywnym muślinem. Podszewka jedwabna; kokarda z wstążki morowej 6 cent. szerokiej.



N. 7. Robota na drutach do ryc. 8.



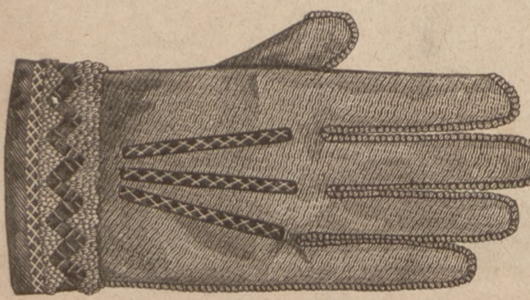
N. 10. Woreczek z haftem szenelowym. Deseń patrz fig. 85.



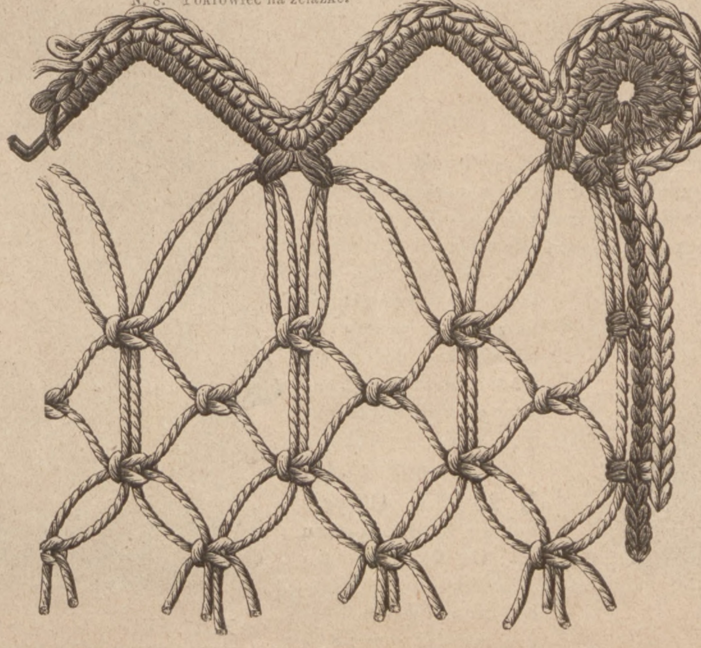
N. 13. Wykonanie tasiemeczki koronkowej do ryc. 5.

N. 24. Ubranie domowe.

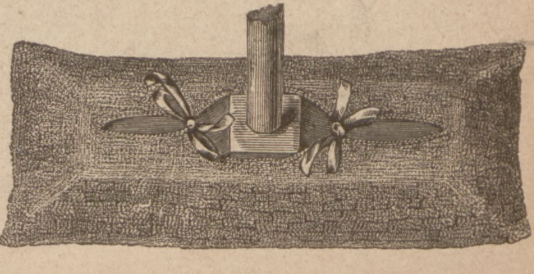
Kaftanikowe przody stanika od sukni z zielonego wełnianego materyału (loden) zapięte są agrafką poniżej wykładanego kołnierza. Fałdowana kamizelka ułożona jest z prostego, 69 cent. długiego kawałka białego lodenu, z jednej strony przyszyta, z drugiej zapinana na haftki. Mankiety białe obłożone aksa-



N. 14. Rękawiczka do poprawiania ognia kominkowego. Krój na arkuszu N. XII, fig. 68—76.



N. 15. Wiązanie hamaku dla lalki i obrobienie brzegów szydełkiem. Patrz ryc. 22 w N. 1.



N. 16. Szczotka do zamiatania pokryta ściereczką do zebrania kurzu z podłogi.



N. 17. Kapotka aksamitna.

mitem. Fig. 89 na arkuszu z krojami daje deseń torsady ułożonej z wypukłej pletni, podłożonej aksamitem.

N. 25. Ubranie spacerowe. Krój mufki na arkuszu N. XVI, fig. 82.

Paletocik z bronzowego materyału naśladującego krymskie baranki, zapięty z boku na wielkie drewniane guziki. Mufka z czarnego aksamitu zawieszona na wstążce bronzowej z brzegiem w pikoty, oszyta z boków barankiem. Kapelusz aksamitny z barankiem, wstążką i piórami łączy podług najnowszej mody oba kolory i materyały. Szyjąc mufkę potrzeba najpierw przygotować formę ze sztywnej merli, podług fig. 82, pokryć zwierzchu i od spodu aksamitem, zeszyć okrągło, sfałdować wzdłuż szwa do 9 cent., a z boków obłożyć barankiem. Zwierzchnie bufowane przybranie układa się z części *b* i sfałdowane w środku przyszywa podług ryc. 25 na formie mufki, podpinając przy górnym brzegu krzyżykiem do krzyżyka i gwiazdką do gwiazdki, a nieco dalej składa się drugą bufkę podług znaków; oba dolne rogi przymocować kilkoma ściegami.

N. 26. Teka na chusteczki do nosa. Deseń na arkuszu fig. 31.

Wierzchnie pokrycie dane z niebieskiego pluszu, z wewnątrz zaś podszyty złotawo żółty atłas, podwatowany i przepikowany jedwabiem. Przyozdobienie stanowią dwie aplikowane gałązki kwiatów ze złotej brokateli, z których większą przedstawia fig. 31. Żyłki w listkach, środeczki kwiatów i łodyżki wyszyte kolorowym jedwabiem. Jeden róg odłożony na wierzch, przewiązany kokardą z blado niebieskiej atłasowej wstążki. Do wkładania chusteczek służą kieszonki atłasowe, dodane z oddzielnych kawałków atłasu, złożonego we dwoje i przestębnowanego w maszynie.



N. 18. Toczek.



N. 19. Ubranie dla chłopczyka lat 2—4. Patrz r. 24 w N. 1. Krój na arkuszu N. II. fig. 5—11.

N. 20. Ubranie dla dziewczynki lat 4—6. Patrz r. 7 w N. 1. Krój na arkuszu N. V, fig. 21—25.

N. 21. Ubranie dla chłopczyka lat 7—9. Patrz r. 23 w N. 1. Krój na arkuszu N. IV, fig. 14—20.

N. 27 i 41. Ubranie balowe z wyciętym bawetowym stanikiem. Krój na arkuszu N. IX, fig. 48—55.

Na zręcznie podpiętą draperyę użyta lekka, przezroczysta tkanina, zaś stanik i gładka spódnica zakończona 17 cent. szerokiem plisowaniem są z materyi jedwabnej. Wymiar draperyi wskazaliśmy na fig. 55; upięcie jej na sukni zaczyna się podług ryc. 27 od prawego brzegu lekko podpiętego, stosownie do długości sukni, przy prawym bocznym szwie spódnicy i układa się górny brzeg od 1 do 62 lekko sfałdowany (liczba 35 oznacza środek przodu) dalej do 123 gładko, odtąd do 280 oznaczających tylny środek fałduje się ściśle i wszywa w pasek od sukni zapinany z boku. Od gwiazdki do gwiazdki i od krzyżyka do krzyżyka podpina się pukle. Nakoniec lewy boczny brzeg draperyi u góry sfałdowany podług znaków, łączy się szwem z prawym brzegiem (patrz fig. 27); krzyżyki i punkta wskazują podpięcie draperyi środkiem przodu i tylnego bryta, a podpięcie z lewej strony przedstawia ryc. 41. Głęboki ząb podłużnego wykroju stanika zapełnia podług linii cienkiej na fig. 48 i 53 modestka z plisowanego tiulu lub koronki. Berta koronkowa dodaje się podług r. 41.



N. 24. Ubranie domowe.

N. 28 i 35. Okrycie balowe. Krój na arkuszu N. III, fig. 12—13.

Krótkie strojne okrycie przedstawione z przodu na ryc. 28 a z tyłu na ryc. 35, odznacza się nadzwyczaj łatwym krojem, który dajemy na fig. 12—13. Model był z jasnej deseniowej materyi *chiné* na lekko podwatowanej i pikowanej atłasowej podszewce. Brzegi oszyte puszkiem łabędzim; na wcięciu stanu przy pleckach podszyta wstążka związywana w pasie.



N. 26. Teka na chusteczki do nosa. Deseń patrz fig. 31.



N. 27. Ubranie balowe z wyciętym bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 41. Krój na arkuszu N. IX, fig. 48—55.

N. 28. Okrycie strojne do wejścia na bal. Patrz ryc. 35. Krój na arkuszu N. III, fig. 12 13.

N. 29. Suknia z vêtement. Krój i przód na arkuszu N. I, figura 1—4a.

N. 30. Ubranie strojne z podpinaną spódnicą. Krój i plecy na arkuszu N. VI, fig. 26—27.

N. 29. Suknia z vêtement. Krój i przód na arkuszu N. I, fig. 1—4a.

Strojniejszą toaletę niż z materyi faille stanowi suknia moiré antique, jaką dajemy na ryc. 29; do przybrania służą torsady szmuklerskie 4 c. szerokie. Spódnica 215 c. szeroka, zakończona u dołu plisowaniem 6 c. szerokiem, przysłonięta jest koronkowym wolantem (koronka wełniana naśladująca chantilly) 92 c. szerokim, 415 c. obwodu mającym, który w odstępie 9 c. od dołu naszyty jest 3 razy wstążką 2 c. szeroką, morową lub faille, odpowiednio do materyi użytej na suknię. Przody, boczki i plecy vêtement podszytego atłasem łączą się szwami od góry tylko do B, F i H, a przy tylnych brzegach przodów od krzyżyka do punktu złożona jest fałda. Poniżej zaszewek materyał puszczony jest wolno od znaczków na f. 4a; materyał zbywający przy pleckach z brzegów bocznych zakłada się od F do * w fałdę, w środku zaś pleców w dwie fałdy idące pod spód. Zapięcie z przodu dane do wcięcia stanu na kryte haftki. Przybranie z koronki i torsady z perłami naszyte na staniku podług linii prostych oznaczonych na fig. 1 i 3.



N. 22. Zarzutka z flanelki. Krój na arkuszu N. XV, fig 81.



N. 23. Czapeczka okrągła dla chłopczyka. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 77.



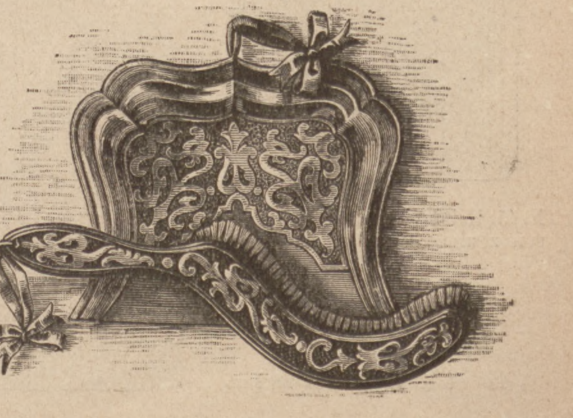
N. 25. Ubranie spacerowe z mufką. Krój mufki na arkuszu N. XVI, fig. 82.

N. 30. Suknia wieczorowa z podpinaną spódnicą. Krój i plecy na arkuszu N. VI, fig. 26—27.

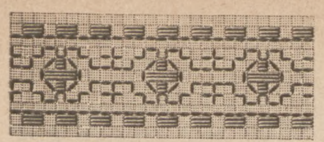
Nadzwyczaj efektownie odbija czarny tiul koronkowy i koronki dane na podwleczeniu z materyi faille łososiowego koloru. Z tejże materyi dana kamizelka plisowana w górze 8, u dołu 3 c. szeroka i fałdowany pasek, przyszyty brzegiem stanika, 4 c. szeroki, zapięty z przodu długą kokardą z materyi wziętej we dwoje. 13 c. szeroki marszczony wolant koronkowy, stanowi z przodu baskinę a z tyłu sute karoczko. Fig. 26 daje wymiar draperyi, której przód *a*, u dołu oszyty bardzo sutą marszczoną koronką, 33 c. szeroką, zaczynając od środka fałduje się podług znaków wraz z lewym brzegiem bocznym i wszywa w pasek, zaś prawy brzeg boczny sfałdowany wpuszcza się w boczny szew sukni. Podpięcie widoczne na r. 30, oznaczone krzyżykami na brycie *a*, przyszyte jest agrafką z perełek; paniers upina się z koronkowego wolantu 100 c. długiego, zmarszczonego u góry i z boków. Bryt tylny *b* jest w górze od 54 do 118 sfałdowany i w pasek wszyty; lewy górny róg oszyty koronką 13 c. szeroką, układa się w dwa luźne pukle, od gwiazdki do gwiazdki. Prawy brzeg boczny podpina się podług znaków; brzeg dolny lekko sfałdowany przyszywa się szwem odwracanym na spódnicy podług fig. 27. Spódnicę zakończoną 10 c. szerokim wolantem z materyi, zdobią do 56 c. wysokości 2 koronkowe wolanty 33 c. szerokie. Taka toaleta może być odrobiona z koronek wełnianych żółtawego koloru.

N. 36—37. Suknia dla panienki lat 11—13. Krój na arkuszu N. X, fig. 56—65.

Odrobiona była z jasno bronzowe-



N. 31—32. Szczotka i szufelka do zmiatania ze stołu.



N. 33. Szlaczek wyszyty kolorowo.

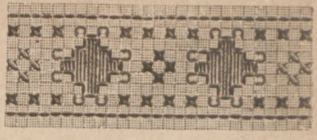
spodni z żągnotu łączy się szwem ze spodnią spódniczką i sukienką zmarszczoną, wokoło 280 c. obwodu mającą. Na kamizelkę marszczoną potrzeba kawałka materyału 42 cent. szerokiego, u góry zmarszczonego, u dołu sfałdowanego, przyszytego do gładkiej podszewki fig. 59 i dopełnionego w górze karczkiem, oznaczonym cienką linią na fig. 59. Kamizelka ta z lewej strony

go materyału z fabrycznie tkanemi szlakami ciemnemi, $4^1/_2$ cent. szerokiemi, służącemi do przybrania sukni, jako plisy proste lub skośne. Stanik



N. 35. Okrycie strojne. Patrz ryc. 28

Model z ponsowej grubej flaneli lub bai liczył 113 c. długości a 73 szerokości, z brzegów obrąbiony na 6 c.



N. 34. Szlaczek wyszyty kolorowo.

szeroko. Na takie tło przenosi się deseń podany na f. 84 w naturalnej wielkości, z dodaniem szlaczka r. 44. Gdy tło podzielone jest w kwadraty, wycina się aplikacyę z flanelki, nakleja ją gumą odpowiednio do deseniu i przyczepia mocnemi nićmi. Do wyszycia ściegiem płaskim służy włóczka hamburgska i trochę angielskiej. Paski flaneli kolorowej



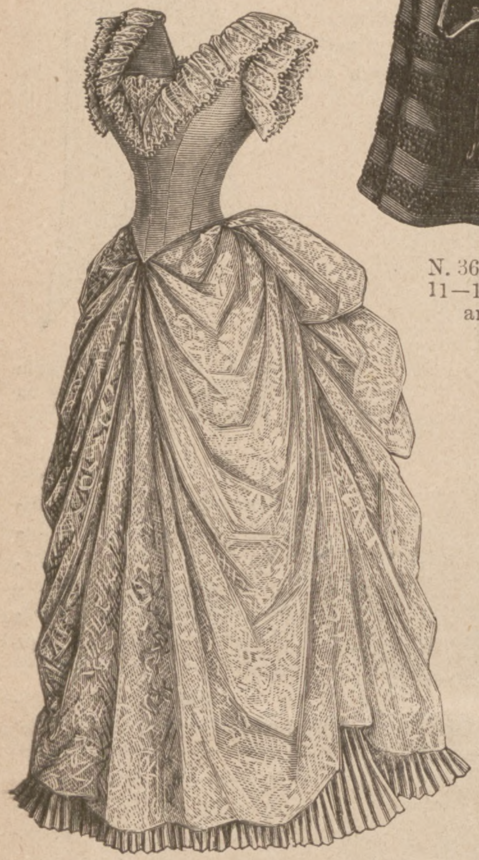
N. 36. Suknia dla panienki lat 11—13. Patrz ryc. 37. Krój na arkuszu N. X, fig. 56—65.



N. 38—40. Grzebień i szpilki szyldkretowe.



N. 37. Suknia dla panienki lat 11—13. Patrz ryc. 36.

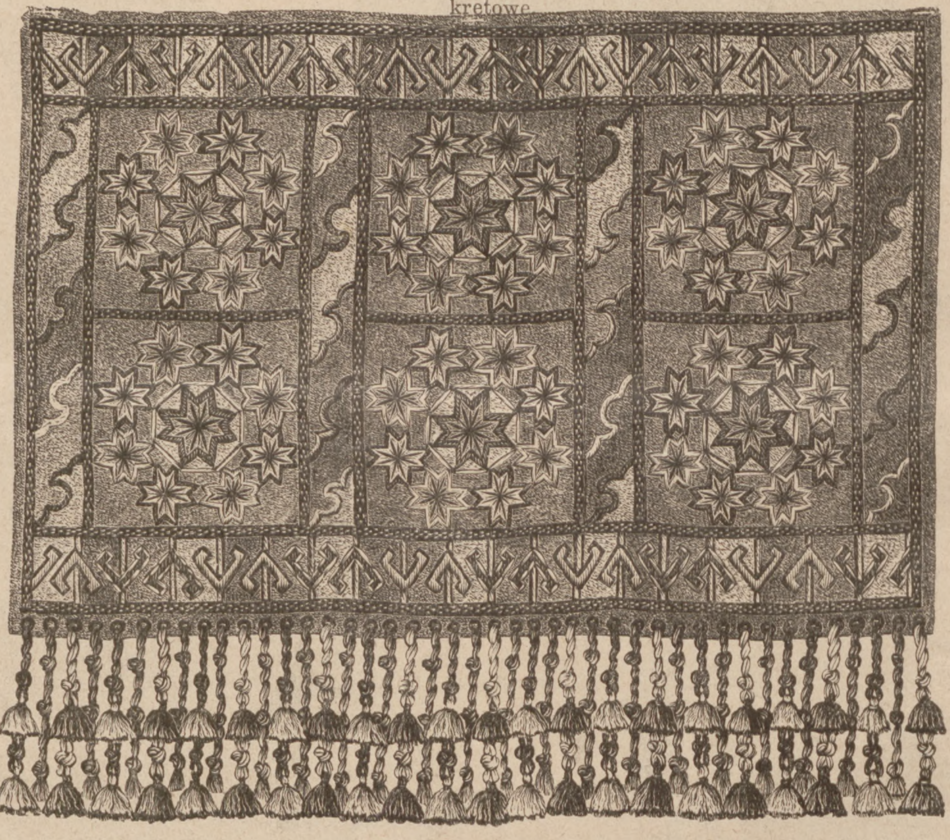


N. 41 Suknia z wyciętym bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 27.



N. 42. Suknia z chusteczkowem przybraniem. Patrz ryc. 2 w N. 1.

przyszywa się do przodu stanika, z prawego boku zapina na kryte haftki. Plecy zszyte z sobą tylko do *m*, u dołu dopełnione są fałdowaniem, dodanem od spodu z kawałka 27 c. szerokiego. Kołnierzyk stojący, 5 c. szeroki, zapina się z boku; szarfa z wstążki bronzowej 42 c. szerokiej, 150 długiej; jeden jej koniec złożony w fałdy do 8 c. szerokości przyszywa się z przodu przy prawym brzegu kamizelki i przechodzi u dołu podług r. 37, dalej podług r. 36 zachodzi aż na boczek gdzie przy-



N. 43. Dywanik na ścianę lub we framugę okna. Patrz ryc. 44 i ryc. 6 w N. 1.

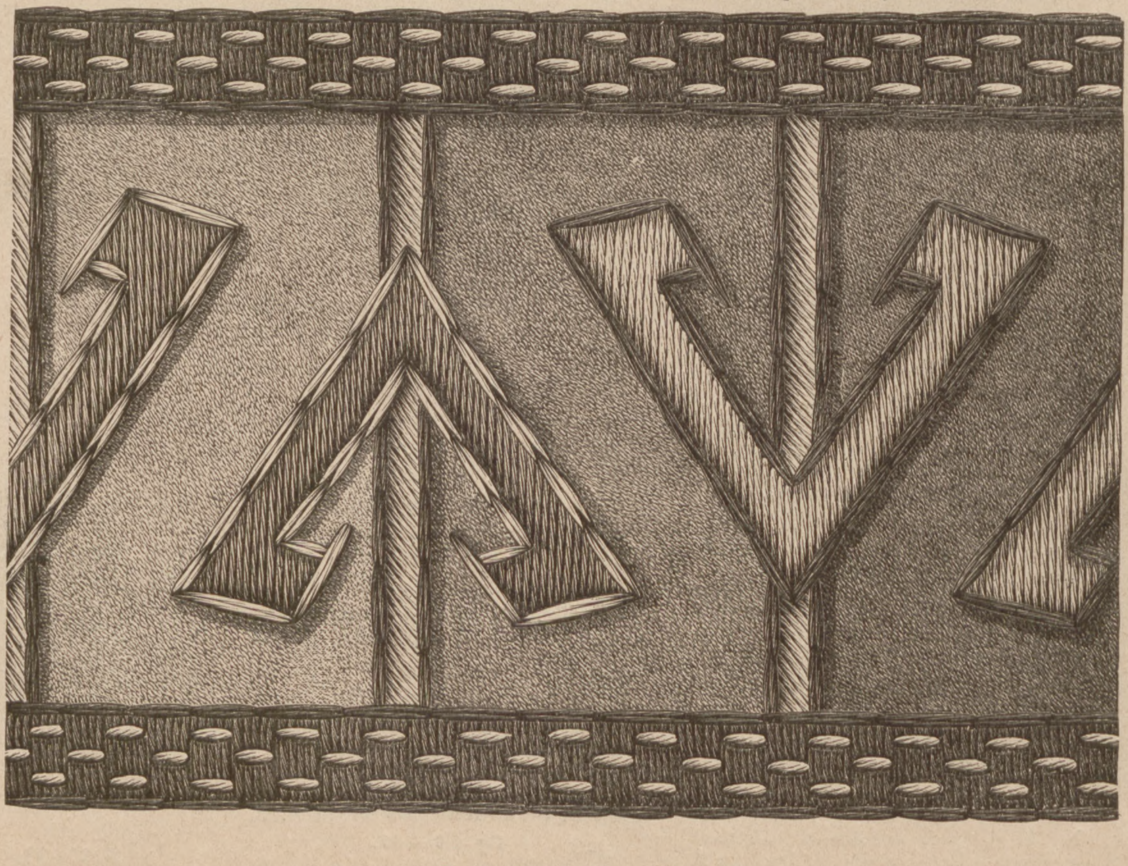
naszywane w szlaku r. 44 są białe, piaskowe i bronzowe i liczą 6 c. szerokości, 8 wysokości; na złożeniu brzegów dane naszycie z włóczki i figury deseniu podług r. 44. Środek kwadratów zdobiących tło zajmuje ośmiokąt z białej flanelki, z bronzowo wyszytą gwiazdą; małe otaczające go gwiazdki są naprzemian popielate i piaskowe. Obwódki i promienie gwiazd są wyszyte zieloną, bronzową, czarną, chamois i niebieską włóczką. R. 6 w N. 1 przedstawia wzór frendzli w $^1/_2$ naturalnej wielkości, do roboty której użyta włóczka smyrneńska; górne pentelki dane z włóczki czarnej, $1^1/_2$ c. dłu-



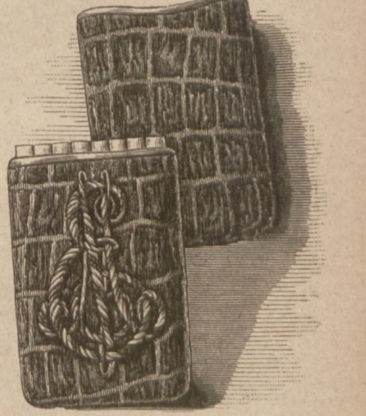
N. 45. Książeczka notatkowa. Deseń zdzierany na safianie patrz fig. 32.

pięty jest kokardą z końcami wysiepanemi na 3 cent.

N, 43—44. Dywanik na ścianę lub we framugę okna. Deseń patrz fig. 84.



N. 44. Szlak do ryc. 43.



N. 46. Cygarnica z monogramem. Patrz ryc. 15 w N. 1.

gie, w odstępach $1^1/_2$ c.; promienie frendzli wiążą się z nitki podwójnej 176 c. długiej, przewleczonej przez tło, złożonej we dwoje, skręcanej i trzy razy przewiązanej w węzły. Co drugi promień wiązane kwaściki.